



Tytuł oryginału: *The Stolen Heir*

Copyright © 2023 by Holly Black  
All rights reserved.

Map and illustrations by Kathleen Jennings  
Cover art copyright © 2023 by Sean Freeman.  
Cover design by Karina Granda.  
Cover copyright © 2023 by Hachette Book Group, Inc.

Tłumaczenie: Stanisław Kroszczyński (rozdziały 1-10)  
oraz Zuzanna Byczek (rozdziały 11-18)

Redakcja: Justyna Techmańska  
Korekta: Justyna Charęza, Marta Tojza  
Skład i łamanie: Robert Majcher  
Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-237-5

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)  
[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

Druk i oprawa: Abedik  
Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

OPOWIEŚĆ z ELFHAME



Tłumaczenie: Stanisław Kroszczyński, Zuzanna Byczek

HOLLY BLACK





*Dla Robin Wasserman, na której ciąży klątwa  
(oraz błogosławieństwo) Prawdziwego Widzenia*



Mapa krain  
śmiertelników,  
które są wspomniane  
w tej opowieści

Zebaty  
Dwór

Kamienny  
Las

Niesuchy  
Tara

Dwór  
Termitów

Fairfold

Las  
Ren

Ruchome wyspy  
Elfhame

Ćmi Dwór

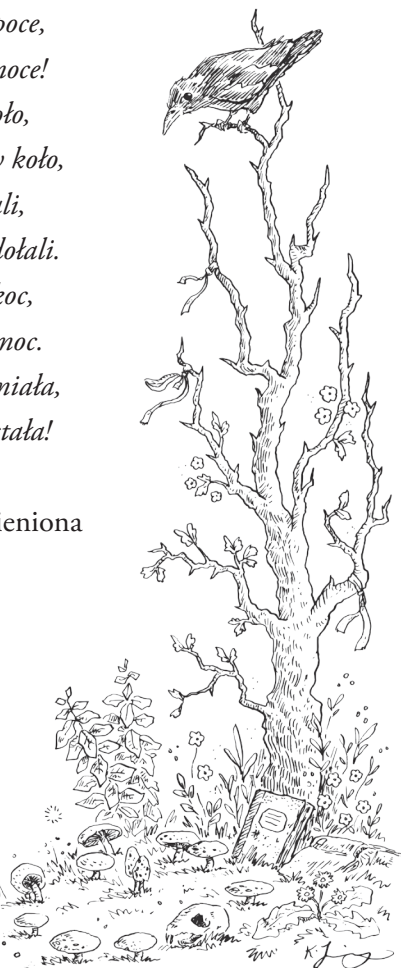
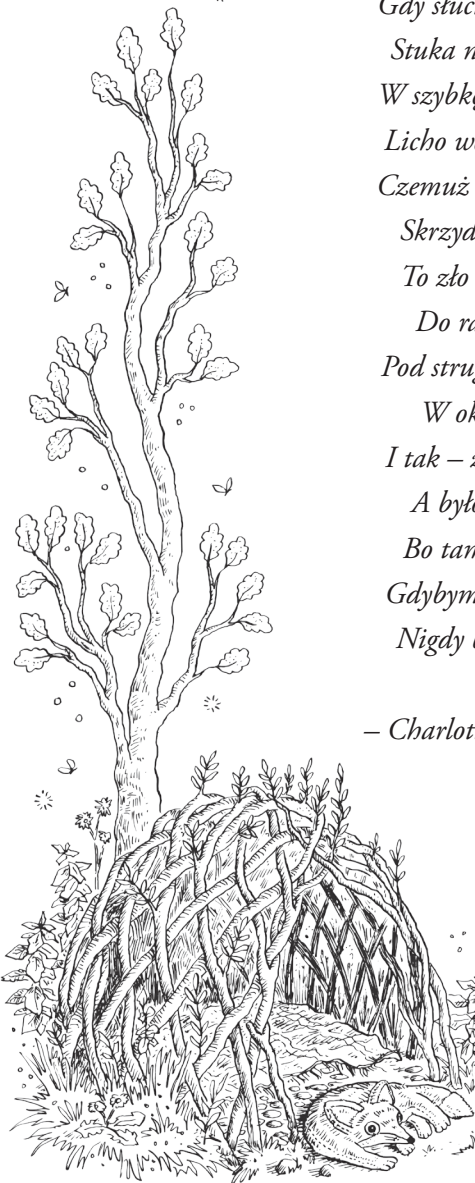






Raz wieczorem w pokoiku,  
Gdy słuchamy wichru krzyku,  
Stuka nagle ktoś w okienko,  
W szybkę skrobie czarną ręką.  
Licho we mnie wlepia ślepią,  
Czemuż tylko mnie się czepia?  
Skrzydłami furczy, łopocze,  
To zło o mnie się szamocze!  
Do rana płasali wesoło,  
Pod strugami deszczu w koło,  
W okna czepce ciskali,  
I tak – zwabić mnie zdołali.  
A było skryć się pod koc,  
Bo tam nie sięga zła moc.  
Gdybym iskrę światła miała,  
Nigdy by mnie nie dostała!

– Charlotte Mew, Podmieniona







## PROLOG

**M**ałą znalazł jakiś przechodzień: siedziała na krawężniku i bawiła się pustym opakowaniem po żarciu dla kotów. W szpitalu stwierdzono, że rączki i nóżki ma sine od zimna i jest chuda jak patyk.

Znała wtedy tylko jedno słowo: Ren. Swoje imię.

Mijały miesiące i lata, ale jej skóra zachowała lekko sinawy odcień odtłuszczonego mleka. Przybrani rodzice otulali ją paltocikami, kurtczkami, kupowali mitenki i rękawiczki. Jednak w przeciwieństwie do siostry nigdy nie marzła. Kolor jej warg zmieniał się jak na bransoletce z ciekłych kryształów, pokazującej nastroje: od sinawego fioletu (nawet w lecie) po róż, lecz tylko w pobliżu ognia. W śniegu mogła się bawić godzinami; drążyła w nim kręte tunele i staczała walki na niby, wykorzystując sople, a do domu wracała dopiero, kiedy ją przywołano.

Wyglądała na wymizerowaną i anemiczną, ale tak naprawdę była silna. Już w wieku ośmiu lat z łatwością podnosiła torby pełne zakupów, pod których ciężarem ugięła się jej przybrana matka.

Kiedy skończyła dziewięć lat, zniknęła.



Ren jako dziecko czytała mnóstwo baśni. Stąd wiedziała, że potwory nadeszły, bo była niegrzeczna.

Podważwszy rygiel, wkradły się przez okno jej pokoju i podniosły żaluzje tak cicho, że jej nie obudziły. Spała dalej, tuląc do siebie ukochanego pluszowego liska. Obudziła się dopiero, kiedy poczuła szpony na kostce.

Nim zdołała wrzasnąć, palce zakryły jej usta. Nim udało jej się wymierzyć choćby jednego kopniaka, jej nogi zostały unieruchomione jak w kleszczach.

– Teraz cię puszcze – odezwał się ochryply głos przemawiający z dziwnym, obcym akcentem. – Jeśli jednak obudzisz kogokolwiek w tym domu, możesz być pewna, że tego pożałujesz.

To też było jak z baśni, więc Ren uświadomiła sobie, że musi się strzec, by nie złamać reguł. Milczała więc i czekała nieruchomo, nawet kiedy już jej nie trzymali, choć serce biło prędko i mocno, aż zdawało się, że jego odgłos powinna dosłyszeć matka, która zaraz się tu zjawi.

Z jednej strony samolubnie pragnęła, żeby tak się stało – żeby mama przybiegła, zapaliła światło elektryczne i przegoniła potworę. Jednak Ren wiedziała: to byłoby wbrew zasadom. Nie wolno jej nikogo obudzić, choćby nawet biciem własnego serca.

– Podnieś się – rozkazało jedno z nich.

Ren usiadła więc posłusznie. Jednocześnie drżącymi palcami ukryła pod kołdrą pluszowego liska.

Widok trzech stworów stojących obok łóżka wprawił ją w niepoahamowane drżenie. Dwoje z nich było wysokimi istotami o skórze

szarej niczym kamień. Jasne, długie włosy obcej pani wieńczyła korona ze strzępiastego obsydianu, a na sobie miała zwiewną srebrzystą suknię. Kobieta była piękna, ale okrutny grymas jej ust sprawił, że Ren od razu zrozumiała: nie wolno jej ufać. Mężczyzna pasował do niej, jakby oboje byli figurami zabranymi z tej samej szachownicy – także nosił czarną koronę i szatę z podobnej, lśniącej księżycowo materii.

Za nimi stała potężna, zwalista kreatura o węzlastych kończynach, cerze koloru piwnicznych grzybów, ze zmierzwionym wiechciem czarnych włosów na głowie.

Przede wszystkim jednak rzucały się w oczy jej palce: długie, przypominające szpony.

– Jesteś naszą córką – oznajmił jeden z bladoliczych upiórów.

– Jesteś naszą własnością – syknął drugi. – To my cię stworzyliśmy.

Ren wiedziała, co to są prawdziwi rodzice, bo jej siostra takich miała. To byli mili ludzie, którzy przyjeżdżali do Rebeki z wizytą i byli do niej podobni, czasem nawet towarzyszyli im dziadkowie, czasem przywozili ciasto albo prezenty.

Ren też pragnęła mieć swoich rodzonych rodziców, ale nigdy się nie spodziewała, że to – wydawałoby się – niewinne marzenie ściąganie na nią aż tak upiorny koszmar.

– No? – odezwała się kobieta w koronie. – Nie masz nic do powiedzenia? Czy zanadto cię przytłacza nasz majestat?

Stwora o szponiastych palcach parsknęła obelżywie.

– Z pewnością tak właśnie jest – stwierdził mężczyzna. – Jakaż będzie twoja wdzięczność, kiedy pojmiesz, że zabieramy cię z dala od tego wszystkiego, moje podłożone dziecię. Wstawaj. Pospiesz się.

– Ale dokąd mam iść? – spytała Ren.

Ze strachu wpiła palce w pościel, tak jakby mogła jeszcze uchwycić się nimi przeszłego życia. Byle byle tylko trzymała się dostatecznie mocno...

– Do Krainy Elfów, będziesz tam królową – oznajmiła kobieta tak opryskliwie, że pozbawiła te słowa jakiegokolwiek powabu. – Nigdy nie roilo ci się, by ktoś po ciebie przybył i rzekł, że nie jesteś zwykłym dzieckiem śmiertelników, lecz magiczną istotą? Nigdy nie snułaś mrzonek o tym, jak ktoś kładzie kres temu żalostnemu bytowaniu, by powieść cię ku wspaniałościom lepszego życia?

Ren nie mogła zaprzeczyć. Nieobce jej były takie fantazje. Skinęła tylko głową, przetykając łzy. A więc na tym właśnie polegała jej wina. Taka podłość czała się w jej sercu i została wykryta.

– Już nie będę – szepnęła.

– Co? – spytał mężczyzna.

– Jak obiecuję, że już nie będę sobie tego życzyć, to mogę zostać? – spytała drżącym głosem. – Proszę...?

Dłoń kobiety piasnęła Ren w policzek tak mocno, że uderzenie rozległo się niczym trzask pioruna. Zabolalo okropnie, lecz choć łzy napłynęły jej do oczu, była zbyt wstrząśnięta i urażona, by pozwolić im spłynąć. Jeszcze nikt dotąd jej nie uderzył.

– Jesteś Suren – oznajmił mężczyzna. – A my cię stworzyliśmy. Jestem twoim ojcem, a to twoja matka. Nazywam się Pan Jarel, a ona Pani Nore. Towarzyszy nam Bogdana, wiedźma burzy. A teraz, skoro już znasz swoje prawdziwe imię, ujrzyj swoją prawdziwą twarz.

Pan Jarel wyciągnął dłoń ku Ren, szarpnął i rozdarł coś niewidzialnego. I oto wyłoniła się jej upiorna jaźń, którą zobaczyła w lustrze toaletki – zamiast mlecznobiałej karnacji: bladostne ciało tej samej barwy co podskórne żyły. Rozchylone usta ukazały zęby ostre jak

u rekina. Tylko jej oczy zachowały starą barwę zielonego mchu: wielkie i przypatrujące się odbiciu w niemym przerażeniu.

*Ja nie jestem Suren – chciała rzec. – To wszystko sztuczka. To nie ja.*

Nawet jednak gdy w myśli wypowiedziała te słowa, dosłyszała, jak bardzo imię Suren przypomina jej własne. Ren. Suren. Ren. Zwykle zdrobnienie.

Podmienione dziecię.

– Wstań – powiedziała wielka, przerażająca kreatura o paznokciach długich niczym noże, Bogdana. – Nie tutaj twoje miejsce.

Ren nasłuchiwała odgłosów domu, brzęczenia grzejników, odległego skrobania pazurów – ich pies poruszał łapami podczas sennej gonitwy. Starła się je wszystkie zapamiętać. Załzawionymi oczami jak przez mgłę patrzyła na swój pokój i notowała w pamięci każdy jego szczegół: od tytułów książek stojących na półkach po szklane oczy lalek.

Musnęła jeszcze raz sztuczne futerko liska i wcisnęła go głębiej, głębiej pod kołdrę. Jeśli tam zostanie, będzie bezpieczny. Drząc na całym ciele, zsunęła się z łóżka.

– Proszę – powtórzyła raz jeszcze.

Okrutny uśmiech wykrzywił usta Pana Jarela.

– Śmiertelni już cię nie chcą.

Ren potrząsnęła głową, bo to przecież nie mogło być prawdą. Przecież matka i ojciec ją kochają.

Mama odcinała skórki od kromek chleba i całowała Ren w czubek nosa, żeby ją rozśmieszyć. Ojciec przytulał Ren, kiedy razem oglądali filmy, a potem zanosił do łóżka, jeśli usnęła na kanapie. Wiedziała, że ją kochają. A jednak pewność, z jaką Pan Jarek wymówił te słowa, wprowadziła Ren w przerażenie.

– Jeśli oświadczą, że pragną, byś z nimi została – podjęła Pani Nore, jej głos po raz pierwszy zabrzmiał łagodnie – wówczas będziesz mogła zostać.

Ren serce podeszło do gardła. Ruszyła korytarzem, prędko, do pokoju rodziców, tak jakby przyśnił jej się koszmar. Odgłos kroków i przyspieszonego oddechu obudził mamę i tatę. Ojciec usiadł na łóżku, a w następnej chwili drgnął jak oparzony, opiekuńczym gestem objął matkę, która spojrzała na Ren i wrzasnęła.

– Nie bójcie się – powiedziała, podchodząc do łóżka i zaciskając kódrę w piąstkach. – To ja, Ren. Oni coś ze mną zrobili.

– Giń, przepadnij, zmoru! – wykrzyknął ojciec. Zabrzmiało to tak strasznie, że aż się cofnęła i oparła plecami o szafkę. Nigdy nie słyszała, żeby tak krzyczał, a już z pewnością nie na nią.

Łzy popłynęły po jej policzkach.

– Ale to ja – powiedziała znowu, łamiącym się głosem. – Jestem waszą córką. Kochacie mnie.

Pokój wyglądał dokładnie tak samo jak zawsze. Jasnobezowe ściany. Małeńskie łóżko z psimi kudłami na białej pościeli. Obok kosza na pranie ręcznik, jakby ktoś nim rzucił i nie trafił. Zapach kominka i chemiczna woń jakiegoś preparatu do zmywania makijażu. Wszystko to jednak widziała jak w krzywym zwierciadle sennego okropieństwa, wszystko stało się potworne.

Schowany pod łóżkiem pies warknął – desperacko, ostrzegawczo.

– No, na co czekacie? Zabierzcie stąd tę stworę – burknął ojciec do Pani Nore i Pana Jarela, jak gdyby ich obecność była czymś zupełnie zwyczajnym i miała go uwolnić od uciążliwej intruzki.

Do pokoju wbiegła siostra Ren, krzyki musiały ją obudzić. Tak, Rebecca na pewno jej pomoże, przecież Rebecca zawsze broniła Ren



w szkole, kiedy inne dzieci jej dokuczały, i nawet zabrała ją ze sobą na szkolny festyn, chociaż żadna z jej koleżanek nie przyprowadziła ze sobą młodszej siostry. Jednak teraz na widok Ren Rebecca dała rozpaczliwego susa na łóżko, jednocześnie wydając z siebie przeraźliwy pisk. Wtuliła się w matkę.

– Rebecca – wyszeptwała Ren, ale jej siostra skryła tylko głębiej twarz w nocnej koszuli mamy.

– Mamusiu – wyjąkała błagalnym głosem Ren, a lzy dławily jej głos, lecz matka nie chciała na nią patrzeć. Ramiona Ren drgały od łkania.

– Tutaj jest nasza córka – oznajmił ojciec, przygarniając do siebie Rebeccę. Tak jakby Ren była jakąś całkiem obcą osobą i próbowała go omamić.

Przecież Rebecca też była adoptowana. Tak samo jak Ren była i nie była ich córką.

Ren wpełzła na łóżko, płakała tak strasznie, że ledwie była w stanie cokolwiek wykrztusić:

– Proszę, pozwólcie mi zostać. Będę grzeczna. Przepraszam, strasznie przepraszam, za wszystko przepraszam, ale nie pozwólcie, żeby oni mnie zabrali. Mamusiu. Mamusiu. Mamusiu. Kocham cię, proszę, mamusiu.

Ojciec chciał ją odepchnąć stopą, ale chwyciła go za nogę, skomlenie Ren przerodziło się w rozpaczliwy krzyk.

Kiedy dotknęła palcami jego łydki, kopnęła ją w ramię, tak że spadła na podłogę. Zaraz jednak znów się wspięła, szlochając, błagając i zawodząc rozpaczliwie.

– Dostyc tego! – warknęła Bogdana. Przyciągnęła Ren do siebie, musnęła długimi paznokciami jej policzek, tak jakby w pieszczocie. – Chodź, dziecko. Ja cię zaniosę.

– Nie! – zawołała Ren, zaciskając palce na pościeli. – Nie! Nie! Nie!

– Nie przystoi, by ktoś z człowieczego rodu śmiał ciebie tknąć, bo ty należysz do nas – oświadczył Pan Jarel.

– I naszą rzeczą jest ciebie karać – dodała Pani Nore. – Naszą, nie ich.

– Czy mają śmiercią zapłacić za tę przewinę? – spytał Pan Jarel, a wtedy w pokoju zapadła cisza, przerywana tylko szlochaniem Ren.

– Czy mamy ich zabić, Suren? – ponowił pytanie głośniejszym głosem. – Rzucić czar na ich psa? Niech się na nich rzuci i rozszarpie im gardziele?

Na te słowa Ren przestała płakać, osłupiała z przerażenia i oburzenia.

– Nie! – zawołała. Dawno już straciła jakiegokolwiek pozory panowania nad sobą.

– A więc posłuchaj mnie i przestań się mazać – burknął na nią Pan Jarel. – Pójdiesz z nami dobrowolnie, bo jak nie, zaszlachtuję wszystkich na tym łożu. Najpierw dziecko, potem tamtych dwoje.

Rebecca jęknęła głucho. Człowieczy rodzice patrzyli na Ren z jeszcze większą zgrozą.

– Dobrze – odezwała się wreszcie Ren, wciąż łamiącym się głosem, bo nadal nie potrafiła powstrzymać łkania. – Pójdę, skoro nikt mnie nie kocha, to pójdę.

Wiedźma burzy wzięła ją na ręce, a potem znikli.



Dwa lata później policjanci ujrzeli Ren w migających światłach wozu patrolowego. Szła skrajem szosy. Podeszwy butów miała dziurawe, jakby zdarła je w tańcu, a ubranie było sztywne od morskiej soli; na nadgarstkach i policzkach widniały blizny.

Kiedy funkcjonariusz próbował ją wypytywać, co się stało, nie chciała, a może nie potrafiła odpowiedzieć. Boczyła się na każdego, kto podszedł

za blisko, kryła się pod pryczą w pokoju, do którego ją zaprowadzili. Nie powiedziała, jak się nazywa – tej pani, którą do niej sprowadzili, też nie – i nie podała żadnego adresu.

Ich uśmiechy sprawiały jej ból. Wszystko sprawiało jej ból.

Kiedy tylko nadarzyła się okazja, Ren uciekła.